Cena 30 groszy. Opłata pocztowa uiszczona gotówką

ZACZYN

TYGODNIK

Nr. 21 (26). Warszawa, czwartek dnia 27 maja 1937 r. Rok II.

NAUKA A WYCHOWANIE

Połączenie wiedzy z wychowaniem jest jednym z najważniejszych zagadnień państwowych. Nigdy nie dość omawiania tego zagadnienia.

Mówi się „uczony dureń" co jest słusznym określeniem, gdyż wiedza nie daje wychowania, a intelekt nie zawsze chodzi w parze z charakterem.

Intelekt często używany bywa w sposób niemoralny ze stanowiska państwowego, a wiedza w mózgu złoczyńcy może być narzędziem zbrodni. Nie wysoki poziom wiedzy, lecz wysoki poziom koordynacji wiedzy z realizacją, zastosowanie jej w życiu, jest probierzem kultury i cywilizacji danego kraju.

U nas zawsze zwracano dużą uwagę na studentów i w nich widziano przyczynę różnego zła, przy sprawie zaś wychowania na wyższych uczelniach profesorów traktowano jak swego rodzaju pedlów, a nie wychowawców, mających wychowywać przez sam proces nauczania.

Profesorowie personalnie, niezależnie od systemu organizacji wychowania i nauczania, winni ponieść lwią część odpowiedzialności za sprawę wychowania na wyższych uczelniach.

U nas pod pozorem oddzielenia nauki od polityki, pod pozorem autonomii nauczania, ogólno-ludzkiego zadania nauki i innych apaństwowych misyj rozwinęły się na uniwersytetach prądy działające antywychowawczo w znaczeniu państwowym.

Dla lepszej ilustracji współzależności pomiędzy wiedzą a wychowaniem państwowym i dla podkreślenia, że nie ma prawie nauk apolitycznych, a w każdym razie obojętnych dla państwa, rzućmy okiem na kilka przykładów.

*

Złe obyczaje profesorskie są gangreną działającą antywychowawczo w uczelniach wyższych, i nie są one niczym innym tylko pochodną systemu. Dla pełnego zrozumienia potrzeby wychowania jako procesu nieodłącznego od wiedzy, i kształtowania charakteru, jako cnoty nie mniej ważnej niż intelekt, mogą służyć następujące przykłady.

W jednej z wyższych uczelni gospodarczych kierownikiem nauk jest naczelnik wydziału z Lewiatana. Czy może on wpajać młodzieży taki światopogląd gospodarczy, by usamodzielnić państwową myśl gospodarczą od wpływu Lewiatana? Czy ten wpływ politycznie jest korzystny?

W innej uczelni nauki prawno-ekonomiczne wykłada profesor, który w dwa miesiące po uchwaleniu konstytucji kwietniowej wydał książkę. W książce tej świadomie ignoruje on aktualną konstytucję, powołując się stale na postanowienia konstytucji z 1921 roku. Z uwagi na „apolityczność", „obiektywizm", autonomię nauczania i samodzielność badania i wykładania — profesor ten nadal wykłada.

W trzeciej znów uczelni — tym razem technicznej—profesor, członek rady nadzorczej przedsiębiorstwa hutniczego, naucza studentów konstrukcyj żelbetonowych o tak wysokim procencie zużycia żelaza, na które nie mogą pozwolić sobie nawet państwa, dysponujące tym surowcem w wielkiej ilości, a który to procent w Polsce, nie mającej rud żelaznych, jest rozrzutnością, graniczącą z sabotażem.

Na katedrach filozofii i historii rozważa się u nas filozofię św. Tomasza z Akwinu i inne średniowieczne systemy, które z wielkim pietyzmem i z zamiłowaniem niemal się propaguje w związku z Akcją Katolicką, a przemilcza się wszystkie współczesne nurty i kierunki myślowe państwowe, tak niezbędne dla wyrobienia umysłowości współczesnej polskiej młodzieży uniwersyteckiej.

A oto przykład już jawnego geszefciarstwa: Coraz częściej przy różnych procesach sądowych dostrzegamy istnienie w Polsce i rozwijanie się instytucji profesorów „jedynych — specjalistów" w danej gałęzi, co prowadzi do nieprawdopodobnych nadużyć, gdy występują oni w charakterze podwójnych rzeczoznawców obojga stron. Źle na tym wychodzi państwo, bo jest tą stroną, która nie płaci łapówek pod postacią wysokich honorariów za opiniowanie. Niech czytający to profesorowie nie obrażają się, niech się rozejrzą dookoła, pochodzą na procesy sądowe, posłuchają.

Oto z czym się styka nasza młodzież na wyższych uczelniach. To od strony wiedzy i wychowania.

A od strony czystego wychowania?

Uniwersytecka atmosfera wychowawcza nie wykracza u nas poza ramy teoretycznej znajomości zasad t. zw. dobrego tonu (a zresztą z tym tonem już od lat jest bardzo kiepsko), znajomości kodeksu Boziewicza (młodzież nobliwa), koleżeństwa, które jest w każdym ośrodku młodych, i uczuciowego patriotyzmu.

O ile od każdego prostego obywatela wymaga się jako minimum płacenia podatków, przestrzegania ustaw, odbywania służby wojskowej i patriotyzmu serca, o tyle kryteria te nie są wystarczające dla młodzieży akademickiej, aspirantów na kierownicze stanowiska w państwie i społeczeństwie. Patriotyzm serca — to konieczne minimum, minimum jednak nieścisłe jeszcze, niejasne, warunek niewystarczający.

Nawet od żołnierza, prostego szeregowca, wymaga się czegoś więcej niż miłości ojczyzny i odwagi. Wymaga się od niego zastosowania wszystkich jego zdolności do wyszkolenia wojskowego.

Wychowanie państwowe młodzieży akademickiej winno spajać patriotyzm z czynnym, zawsze czynnym światopoglądem państwowo-politycznym, z określoną kierunkowością użytkowania wszystkich elementów wiedzy w ten sposób, jak tego wymagają państwowe zadania. Stąd wychowanie i wiedza winny być stopione w jeden stop światopoglądowy.

W miarę bowiem konieczności służenia nauki państwu błoga jej apolityczność, obiektywizm, bezpłciowość, nietykalność i wolność przestają być dogmatami.

Nie ma bowiem apolitycznego i t. zw. obiektywnego nauczania ani historii, ani literatury, ani prawa, ani techniki, ani ekonomii, ani rolnictwa, a cóż dopiero mówić o pedagogice, naukach politycznych i społecznych.

Trudno sobie wyobrazić sabotaż na katedrze botaniki, ale jakże częstym on bywa na katedrach radiotechniki lub ciężkiego przemysłu. Już weterynaria jest wiedzą, która zahacza o agrotechnikę, więc gałąź styczną z polityką, a cóż dopiero mówić o medycynie, która mieści w sobie tyle społecznych i państwowych zagadnień.

Nasi profesorowie przeważnie nie wychowani państwowo i nie zmuszani uniwersalistycznymi wytycznymi polityki naukowo - wychowawczej, polityki myślenia całościami, które każde mądre państwo narzuca swym profesorom: — nie są już zdolni dźwignąć się z istniejącego stanu rzeczy. Samouctwo i samowychowanie studentów wbrew profesorom nie jest dźwignią wystarczającą.

Nie stać nas, biedne państwo, na surogaty wychowania takiego rodzaju, że uniwersytet swoje, a państwo i wojsko swoje. Przysposobienie wojskowe w szczególności, a w ogóle przysposobienie młodzieży akademickiej do pełnienia funkcyj państwowych, nie może być dokonywane tylko w ochotniczych organizacjach społecznych, na boiskach sportowych, etc. Musi ono być dokonywane w normalnym programie studiów, w aulach, salach wykładowych i laboratoriach, a nie w oficynach i przybudówkach do uniwersytetów. Ponieważ prawie niema w naukach takiej dziedziny, któraby państwu nowoczesnemu w jego pełnej aktywności nie była potrzebna, a rozwiązywanie wielu zagadnień państwowych

TREŚĆ NUMERU:

przez służenie bezpośrednie nauki państwu pracą naukowo-wychowawczą na uniwersytetach pogłębi, a nie obniży poziom nauk, — *zagadnienia państwowe winny znaleźć się w każdej probówce chemika, w każdym seminarium socjologicznym, w każdym elektrotechnicznym laboratorium, na każdym wykładzie ekonomii, rolnictwa i filozofii.*

Rozumie się samo przez się, iż są nauki ścisłe, jak matematyka, teoretyczna fizyka i chemia, jako nauki kosmopolityczne, oraz nauki apolityczne, jak botanika, zoologia, astronomia i nauki przyrodnicze, które trudno wiązać z wychowaniem państwowym. Tam państwo od wykładających i studiujących może i musi wymagać tylko wysokiego poziomu, by był on wystarczający jako podstawa dla innych nauk, które na nich się opierają w swych metodach. Musi poza tym państwo wyposażać te działy nauk w odpowiednie środki materialne, traktując wychowanie obywateli, poświęcających się im, jako niespecjalne, zwykłe obywatelskie wychowanie.

Gdy tylko dzięki właściwej organizacji nauki i wychowania na wyższych uczelniach osiągniemy system o jeden cal wyższy i wydajniejszy państwowo od państw współzawodniczących, będziemy mieli najlepszy, najbardziej cenny „for" w swym cywilizacyjnym i kulturalnym rozwoju. Jakże ciężarne w skutki są wady i zalety systemów organizacji wiedzy i wychowania na uniwersytetach!

Ten cal różnicy poziomu da w wyniku metody obniżenia o miliony liczby bezrobotnych, ten cal może o tysiące kilometrów wydłużyć sieć kolei żelaznych, o kilometry zwiększyć zasięg naszych armat, i t. d.

A sama hierarchia potrzeb państwowych kształcenia fachowców? Czy ona u nas dobrze stoi? Jakie ogromne przeludnienie jest na wydziałach humanistycznych i prawnych? Jakie niedobory w naukach technicznych i ścisłych? Odbiciem tego są takie wyniki, że dla dobra ogólnoludzkiej nauki robimy studia wysokogórskie, polarne, nie mając prawie wcale badań geologicznych, które mają określić stan naszych zasobów mineralnych. Nauka czysta — to niewątpliwie piękny teren badawczości umysłu ludzkiego lecz *inter arma silent musae*. Jakże wiele mamy do odrobienia w naukach koniecznych dla państwa!

*

Uniwersytet jest przede wszystkim miejscem nauczania, a częściowo tylko ośrodkiem badań naukowych, których najwłaściwszym ośrodkiem winny być liczne badawcze instytuty.

Nie jest jednak uniwersytet i być nie powinien ośrodkiem powstawania światopoglądów politycznych i miejscem tworzenia się państwowych zagadnień.

Dla tych celów winien istnieć specjalny ośrodek państwowy pozauniwersytecki i ponaduniwersytecki, zlecający uniwersytetom do przepracowania i wyłożenia młodzieży całego katalogu zagadnień oraz pewną ściśle związaną z potrzebami państwa kierunkowość nauczania. Z indywidualnych, nieskoordynowanych, sobiepańskich światopoglądów profesorskich nic nie wynika, dopóki profesorowie nie wejdą w orbitę zagadnień planu państwowego, a więc dopóki nie będą sami wychowani. Każdy z nich z osobna jest *homo unius libri*, człowiekiem jednej specjalności.

Może profesor walczyć o swoją teorię, nie miejsce na to jednak na uniwersytecie, lecz w tym ośrodku ponaduniwersyteckim uniwersalistyczno - państwowym, który działać ma w związku z planem państwowym.

I ten ponaduniwersytecki ośrodek, nie jakiś, jak mamy teraz, organ administracyjny Min. W. R. i O. P., winien wypracować światopogląd i wszystkie zagadnienia o treści państwo — nauka, określać kierunek studiów, ustalać hierarchię i katalog zagadnień naukowych, ustalać kontyngenty liczbowe studentów dla każdej gałęzi nauk, decydować o powstawaniu nowych i zwijaniu starych katedr, oraz opracowywać metody powiązania nauczania z wychowaniem państwowym w każdej gałęzi studiów, nauki i wiedzy.

*

Chyba nie tylko w dziedzinie ogólnej polityki, lecz także w polityce oświatowo-wychowawczej na wyższych uczelniach stale operowano u nas negacją, zakazami, mówiono, czego nie wolno czynić, a nigdy pozytywnie nie wskazywano, co czynić należy. Bowiem na poziomie wyższej uczelni nie wystarczy bynajmniej powiedzieć: „módl się, pracuj i kochaj ojczyznę".

Jakże dalecy jesteśmy z tym wszystkim od odradzającej się nanowo, choć w innym układzie państwowym, potęgi nauki niemieckiej, która z każdej uczelni gospodarczej zrobiła bastion Wehrwirtschaftu, a szkoły wyższe techniczne oddała w służbę potrzebom zbrojeniowym. A nauka włoska, sowiecka i japońska?

Jakże jest źle u nas, jeżeli niedawno asystenci pewnej wyższej uczelni państwowej zostali stawieni przed sądem za urządzenie tajnej akademii ku czci Kirowa. A inni asystenci i profesorowie zajmują się czynnie sprawami ławek dla studentów. Oto do czego prowadzi negacja bez pozytywnych wskazań.

U nas wynika to wszystko — zresztą mniejsza o genealogię rzeczywistości — z minimalnej wprost i rachitycznej twórczości państwa w dziedzinie polityki wychowawczej. Zresztą i ta polityka wychowawcza nie może wyskoczyć, jako coś niezależnego i samodzielnego, jak Atena z głowy Zeusa, lecz może być jedynie zespołem zależnych środków wychowawczych, pomyślanych równolegle do planowanych lub realizowanych wielkich zadań państwowych.

*

Na podstawie przytoczonych rozważań widzimy, że nie sposób zostawić uniwersytetów w wieży z kości słoniowej, w izolacji od całokształtu spraw państwowych, nie można systemu nauczania oddzielać od spraw wychowania, gdyż należy całą aparaturę wyższego szkolnictwa włączyć bezpośrednio i niedwuznacznie, bez żadnych pasów transmisyjnych w orbitę państwowych potrzeb. Żadna korporacja zawodowa profesorów, a zwłaszcza takich, jakich posiadamy, nie może izolować uniwersytetów od potrzeb państwowych i swoim własnym rozumem dochodzić do politycznych wskazań i politycznego wychowania oraz politycznej korelacji wiedzy z nakazami państwowymi. Powinno to uczynić państwo.

POPULARYZACJA

Nigdy nie zapomnę śmiesznej sytuacji, której byłem świadkiem w jednej ze szkół podchorążych rezerwy. Oto na ćwiczeniach z łączności pewien zbyt gorliwy kapral (bo wykładali specjaliści oficerowie) zabrał się do objaśniania funkcjonowania aparatu telefonicznego. Ku wielkiej uciesze podchorążych objaśniał tak: „po tym drucie płynie prąd, po tym napięcie, a po tym „x" kwadrat". Wybuchła salwa śmiechu, wiadomo, podchorążowie to wesoły naród.

Gdy się mówi o popularyzacji czego kolwiek, trzeba zawsze ten przykład mieć przed oczyma. A gdy się go zapomni, warto zapamiętać drugi.

Pewien profesor astronomii postanowił zorganizować popularny odczyt z dziedziny tej nauki w środowisku wiejskim, jako że słyszał, że wieśniacy bardzo interesują się niebem. Przyjechał naturalnie z przezroczami. Pokazuje więc planetę Marsa i objaśnia. Z kąta sali wyrywa się okrzyk zdumienia — „to tam są takie duże pomarańcze?!". Już więcej nie popularyzował.

Okres demokracji w polityce i rozpowszechnienia się nauki dla mas, oraz wzrost intensywności środków takich, jak prasa, radio, literatura, spowodował niejako demokratyzację wiedzy, obudził w wielu ludziach, niedociągniętych teoretycznie do zrozumienia lub myślenia na pewnym poziomie, żądzę poznania pewnych teorii naukowych, technicznych i t. p.

Zapotrzebowanie na popularne ujęcie pewnych niezrozumiałych dla niskiego poziomu wykształcenia zagadnień spowodowało drugą falę — zstępowania nauki z piedestału dla stworzenia całych zespołów środków popularyzacji.

I tak, jak o niektórych aktorkach filmowych mówi się „*Greta Garbo dla biednych*", tak i w nauce zaczynano szukać dróg popularyzacji wiedzy. Coś na kształt: „Einstein dla literatów", „Freud dla służby domowej", „Schacht dla muzyków" i t. p.

Najczęściej popularyzacja odbywa się drogą werbalną, albo porównań z zupełnie innych dziedzin.

Otrzymuje się mniej więcej sytuację podobną do sytuacji w świetnej sztuce Cwojdzińskiego p. t. „Teoria Einsteina", gdzie paniusia, córeczka pensionarka i sekretarka wyprowadzały z popularyzacji teorii Einsteina wszystko, ale to dosłownie wszystko — nawet nieśmiertelność duszy, cóż dopiero mówić o życiu ludzkim w ogóle i w szczególności.

Na popularyzację nauk rzuciły się przede wszystkim bardzo demokratycznie Sowiety w pierwszym okresie komunizmu. Na t. zw. „samoobrazach" (kursy samouctwa) wykładali kolejno swe specjalności nauczyciele gimnazjalni wobec kolegów i... woźnych. Przy tym musieli dostosowywać poziom wykładów do potrzeb naukowo-poznawczych tej ostatniej kategorii.

Nie tylko tłum żąda od specjalistów popularyzacji nauk. Bo oto w „*Gazecie Polskiej*" z 21 lipca 1935 r. *Ferdynand Goetel* w art. p. t. „*Przeciw teorii kwantów*" woła rozgoryczony w imieniu inteligencji: „*Raz po raz odpada od nas jakaś dziedzina życia, w której mieliśmy coś do gadania i do myślenia i staje się domeną speców od teorii kwantów*". I w rozterce pytał: „*Jeżeli jednak zamiera wspólny język, którym w każdej sprawie porozumiewali się wszyscy ludzie, jeżeli coraz to nowa dziedzina życia staje się lożą wtajemniczonych, porozumiewających się znanymi tylko sobie znakami i symbolami — to cóż się stanie z „inteligencją", pojętą zarówno, jako motoryczna siła historii, jak i warstwa społeczna?*".

Jeden ze świetnych popularyzatorów nauk przyrodniczych *L. Infeld* odpowiedział w art. p. t. „*Bronię teorii kwantów*" („*Gazeta Polska*" z 30 lipca 1935 r.). A powiedział on co następuje:

„*Wystąpienie Goetla nie ma w istocie nic wspólnego ze stanem fizyki współczesnej. Przeciwko inowacjom i postępowi w nauce występował zawsze w każdym okresie rozwoju nauki pewien odłam inteligencji, a nawet i fachowców, bądź w imię prostoty i niekomplikowania zagadnień, bądź w imię innych dogmatów. Każda zmiana w nauce wywoływała gwałtowne sprzeciwy i reakcje ze strony ludzi lubiących niezmienne i trwałe zeszufladkowanie wiadomości. Około stu lat temu współcześni sądzili o zasadzie zachowania energii to mniej więcej, co Goetel sądzi o teorii kwantów*".

I dodał:

„Nasza wiedza o świecie i życiu rozrosła się i ulega ciągłym przemianom. Nadążenie za zmianami wymagało zawsze, wymaga i obecnie wysiłku umysłowego. Trzeba się z faktem tym pogodzić i wyciągnąć z niego konsekwencje".

Spór ten o popularyzację nic nie stracił na aktualności. Nawet inteligencja często widzi w niespopularyzowanej pracy teoretyków i badaczy jakieś przejawy szamaństwa, szalbierstwa i tajemnic faraońskich, uważając język symbolów za jakiś tajny szyfr.

Dotąd się słyszy narzekania na „ciężki styl" St. Brzozowskiego.

O ileż inaczej... czerwona prasa, prawda? Drukuje reportaż baletnicy z zespołu Parnella o wizycie u Dunikowskiego. Ziemia, skrzynka, pokręcanie korbką i jest złoto! Jasne i zrozumiałe! Oto popularyzacja! A ci „kwanciści" lub... „Zaczyn" — to szalbierstwo! Niech żyje popularyzacja i „x" kwadrat!

*

Gdy popularyzuje się wiedzę techniczną lub przyrodniczą — to pół biedy! Ostatecznie wskutek werbalnego traktowania astronomii nikt szkody nie dozna. Lecz gdy zaczyna się popularyzowanie nauk i teorii, mających styczność z polityką, to już pole do wielkich grzechów i nadużyć, które bezkarnie nie mijają.

Taka popularyzacja, uprawiana politycznie, zawadza o propagandę i tu państwo winno położyć rękę na środki popularyzacyjne. Czytajmy... Wiecha i Oderfeldówny „Młodzież przedmieścia". To bogaty materiał do poznania wyników popularyzacji.

Wyniki te w dziedzinie dyscyplin politycznych wyglądają przykładowo tak.

Pytanie: „Kto jest winien złu na świecie?". Odpowiedź: „Masoni (albo sanacja) i komuniści (albo faszyści)". Pytanie: „Dlaczego Hitler odbudował Niemcy?". Odpowiedź: „Bo wygnał Żydów".

Tak się kończy popularyzacja polityczna.

*

Zapewne oburzą się na nas liczni oświatowcy, społecznicy, „działacze na niwie..." i rozmaici „dźwigacze kultury", że powstajemy przeciwko demokratyzacji wiedzy, nauki, że jesteśmy zacofańcami etc., gdyż instynkty popularyzacyjne dla wielu są bardzo często tak przyjemnymi środkami, wprost osłodą życia, wyładowaniem kompleksu wyższości. Z jaką przyjemnością tłumaczy motocyklista swemu przyjacielowi nie motocykliście tajniki działania motoru, z jaką przyjemnością widzi swoją wyższość i to, że tamten nic a nic nie rozumie.

Popularyzatorom zdaje się, że ideałem każdej nauki i wiedzy jest prostota, zrozumiałość dla wszystkich poziomów. Stąd takie marnowanie czasu nieraz wybitnych i twórczych polityków na popularyzację spraw, które nic na tym nie zyskują a tylko tracą. Często oświadczenia polityków do tłumów, nie poparte „szyfrem" dla wyższego poziomu współpracowników, stawiają ich w sytuacji głupiej (np. oświadczenie: „kartele — to wróg!").

A teraz nasz zasadniczy pogląd na popularyzację. Jesteśmy zwolennikami, aby każdy kapral w wojsku polskim dowiadywał się o elektryczności ze szkoły, z wykładów, a nie z... popularyzacji.

Trzeba jak najwyżej doprowadzić prawdziwą naukę, starając się ograniczyć do minimum jej surogaty popularyzacyjne, bo inaczej skończy się na „x" kwadrat. (177).

„MŁODZIEŻ PRZEDMIEŚCIA"

Deklamuje się wiele o naszej młodzieży, ale wie się o niej naprawdę bardzo mało. Około 3 milionów chłopców i dziewcząt w wieku lat 16 — 20 rozwija się fizycznie i duchowo w warunkach, które należy ocenić i rozważyć z punktu widzenia wymogów wychowawczych, aby to, co stanowi najbliższą przyszłość państwa polskiego, nie zostało zniszczone, osłabione lub wykoślawione.

Zagadnienie kapitalnej wagi. To też należy z całkowitym uznaniem podkreślić inicjatywę Instytutu Spraw Społecznych (I. S. S.), który, doceniając konieczność zorganizowanej i planowej pomocy dla młodzieży, potraktował sprawę gruntownie i poważnie, albowiem rozpoczął cykl publikacyj, opartych na materiale „bezpośrednich danych". Materiał ten metodycznie opracowany stara się dać obraz rzeczywistości odcinka młodzieży proletariackiej.

Wszechstronne na szeroką skalę zakrojone badanie życia młodego pokolenia nastręcza olbrzymie trudności, wymaga pokaźnego zasobu środków materialnych, no i umiejętności.

To też ograniczając swój ewentualny rozmach, sprowadzono pracę na odcinku badania rzeczywistości młodzieżowych do metody „miejscowego sondowania".

Pierwszą pracą z tego cyklu publikacyj I.S.S. jest metodyczne, inteligentne i przejrzyste opracowanie Anny Oderfeldówny p. t. „M ł o d z i e ż p r z e d m i e ś c i a. Z b a d a ń a n k i e t o w y c h n a O c h o c i e".

Materiały, którymi autorka operuje, stanowią dane zaczerpnięte z kartotek szkolnych i Ośrodków Zdrowia na Ochocie, oraz wypowiedzi zebrane przez „informatorów społecznych", którzy, posiłkując się kwestionariuszem i uzupełniającymi pytaniami, potrafili uzyskać dzięki swej umiejętności postępowania cały szereg obszernych wynurzeń o dość dużej dozie szczerości.

Badani byli rozklasyfikowani na trzy zasadnicze grupy: 1) młodzież z rodzin t. zw. podopiecznych t. j. zarejestrowana w sekcji Pomocy Matce i Dziecku przy Obywatelskim Komitecie Pomocy Bezrobotnym czyli Grupa P. (74 młodocianych), 2) absolwenci szkół powszechnych na Ochocie — Grupa S (124 młodocianych) i 3) młodzież z rodzin zarejestrowanych w Ośrodku Zdrowia na Ochocie — Grupa O (51 młodoc.).

Uzyskany materiał opracowany został pod kątem charakterystyki środowiska, szkoły, pracy, zawodu, bezrobocia, skali potrzeb kulturalnych, poglądów i dążeń młodocianego mieszkańca Ochoty.

Jak mieszka i jak się odżywia dorastający chłopak lub podlotek z Grupy P?

Co mówią materiały?

Trzy pokolenia mieszkają w jednoizbowym lokalu o jednym oknie, bez wody i ubikacji. Przeludnienie mieszkaniowe jest ogromne. Normalne warunki sypiania („sam w łóżku") były bardzo rzadkie; częstsze — sypianie 2, 3 a nawet 4 osób w jednym łóżku lub też na podłodze na wspólnym sienniku. Oto wymowne przez swój realizm przykłady: 1) Ojciec, bezrobotny murarz, nikt w rodzinie nie zarabia, 12 osób mieszka w izbie 3,5 × 3 m. Badany śpi z ojcem na podłodze. 2) Ojciec furman, zarabia dorywczo. 9 osób mieszka razem w izbie 3 × 5 m. Badany śpi na łóżku z siostrą. 3) Ojciec, bezrobotny robotnik, zarabia dorywczo, szwagier pomaga. 11 osób mieszka razem w izbie 4 × 3 m. Badany śpi na łóżku z bratem. 4) Ojciec, robotnik na filtrach, zarabia 240 zł. miesięcznie, zarabia też troje dorosłych dzieci. 14 osób mieszka razem w izbie 5 × 4 m. Badany śpi na podłodze z dwoma bratankami.

Są to co prawda przykłady mieszkań najbardziej przeludnionych, ale trzeba podkreślić, że w ogóle „średnia mieszkaniowa" dla wszystkich grup wynosi 4 osoby na jednoizbowy lokal.

Odżywianie i hygienę w tych warunkach ilustrują najlepiej poniższe przykłady, które w grupie P stanowią „przeciętny obrazek".

1) „Chłopiec 18 letni. Ojciec robotnik wykwalifikowany od 4 lat zupełnie bezrobotny, matka dozorczyni, zarabia 15 zł. miesięcznie. Mieszka razem 9 osób w izbie 2,5 × 3,5. Odżywianie: obiad — zupa z kuchni dla bezrobotnych; rano i wieczorem — herbata, chleb; mięso 1 raz na tydzień. Chłopiec śpi z bratem na podłodze. Kąpał się 1 raz w ostatnim półroczu w kąpielisku miejskim. Ma jedno ubranie, 1 komplet bielizny, 1 chustkę do nosa. Innych własnych przedmiotów nie posiada".

2) „Chłopiec 16 letni sprzedaje gazety. Ojciec bezrobotny kotlarz. Mieszka razem 7 osób w izbie 2,5 × 3,5. Odżywianie: obiad — zupa „komitetowa", rano i wieczorem herbata, chleb; mięsa nie ma nigdy. Chłopiec śpi z ojcem na podłodze. Nie kąpał się w ostatnim półroczu. Ma jedno ubranie, 2 koszule, 1-ną sztukę dolnej bielizny".

3) „Młody człowiek 20 letni praktykant drukarski. Ojciec — lokaj bezrobotny od 3 lat. Rodzinę utrzymuje starsze rodzeństwo: brat czeladnik szewski i siostra krawcowa. Mieszka razem 8 osób w izbie 4 × 3.5. Odżywianie: obiad — zupa; rano i wieczorem — kawa, chleb, masło; mięso 1 raz na tydzień. Młody człowiek śpi sam na łóżku. Kąpał się 2 razy w ciągu ostatniego półrocza".

A więc w lumpenproletariacie (grupa P) jeżeli chodzi o odżywianie to za najczęstsze należy przyjąć następujące „wiktuały" dzienne: zupa, chleb, herbata. Natomiast jeśli chodzi o odżywianie najwyższej grupy (S) to za regułę należało by przyjąć: mięso więcej niż 1 raz na tydzień, przy czym obiad składa się z 2 dań: z zupy i drugiej potrawy, najczęściej jarzyny (przeważnie kapusta). Owoce, słodycze i sałaty są rzeczą z krainy pragnień i marzeń. (Ale tak à propos, aby nie zapomnieć. Jak to sobie wyobrażają nasi ekonomiści, pogodzenie się z rzeczywistością i zaciśnięcie pasa? Na czyim brzuchu?). A oto sen 20 letniego chłopca z najwyższego poziomu najwyższej grupy: „tyle zarobić, żeby móc jeść 4 razy dziennie, zrobić sobie co roku 2 garnitury, nie zalegać z komornym. To dało by się osiągnąć przy pensji równej 200 zł. miesięcznie".

Przykłady tego typu reprezentatywnego

Od Administracji

Komplety numerów „Zaczynu" od początku wydawnictwa t. j. od dn. 3 grudnia 1936 r. wysyłamy po wpłaceniu na nasze konto czekowe w P. K. O. Nr. 25.544 należności 1 zł. miesięcznie i 2 zł. 50 gr. kwartalnie. Komplet numerów za grudzień 1936 r. — kwiecień 1937 r. włącznie kosztuje 4 zł. 50 gr. Przy wpłacaniu prosimy o podawanie na odwrotnej stronie blankietu P. K. O. tytułu wpłaty.

dla różnych grup są w książce Anny Oderfeldówny podane w sposób metodyczny, klasyfikacyjno - pedantyczny bez żadnej „patetycznej aluzji". Charakteryzują one wystarczająco stronę hygieniczno-odżywczą i mieszkaniową młodego chłopca i dziewczyny na Ochocie. Najskrajniejsza nędza materialna nie pozwoliła młodocianemu z grupy P na ukończenie szkoły powszechnej nawet na korzystanie z oświaty pozaszkolnej. Borykanie się z biedą aby nie wpaść w nędzę pozwala chłopcu lub dziewczynie z grupy S zaledwie na skończenie szkoły powszechnej. Mowy już nie ma o średniej. Natomiast szkoła zawodowa lub dokształcająca dawała pewne nikłe szanse ukończenia.

Dla tych młodych z Ochoty los bezrobotnego ciąży nad życiem każdego z nich. Świat pracy wydaje im się czarownym gmachem, nad którym widnieje napis: „Młodości wstęp wzbroniony", a do którego dostają nędzne przepustki pobytowe na tygodnie, miesiące i b. rzadko na parę lat. Ich los — to stałe bezrobocie przerywane chwilowym zajęciem, to stan paraliżowania instynktu społecznego w duszy młodocianego przez wyeliminowanie go z procesu wytwarzania dóbr. Jak pragną i poszukują pracy ci chłopcy?

Oto według autorki różne są postawy psychiczne młodzieży: 1) Apatia i bezczynność — sprzedawał gazety przez 4 lata. Obecnie przestał, bo był za duży. Nic nie robi cały dzień. Najczęściej leży na łóżku, patrzy w sufit, nie myśli o niczym — tak sobie. Ma przecież dosyć czasu.

2) Rozpacz — dawniej lubił majstrować. Robił wózki, aeroplany. Teraz odkąd nie ma pracy, nie ma też usposobienia do tego. Mało wariacja nie przychodzi do głowy.

3) Wytrwałe poszukiwanie. Codzień biegał „pod kurier". Źle było, bo nic nie znajdował.

4) Poszukiwanie przygodne — włóczy się z kolegami. Przystaje, patrzy, gapi się. Czasem dostanie jakąś pracę — coś zanieść, załadować.

5) Łobuzerska beztroska. Pracował przez kilka miesięcy u ogrodnika, teraz o pracę nie stara się, bo i lepsi nie znajdują. Dotąd żył jakoś, to i dalej może wyżyje. Gdy się ociepli, wychodzi na cały dzień. Jedzenie czasem dostanie od kogoś, czasem ściągnie".

Jeżeli natomiast stałe bezrobocie zostało zachwiane przez częstsze przerwy zarobkowe, wówczas w psychice młodzieży poczynała grasować wyniszczająca bezplanowość i tymczasowość, które, podporządkując dalsze cele bliższym, doprowadziły do zupełnego zaniku zawodowych zainteresowań, jak to się daje zauważyć u chłopców już nieco wykształconych.

„Wyścig pracy", „praca dla dobra państwa", „praca o b o w i ą z k i e m społecznym"—jakże to dziwnym może się wydać młodemu człowiekowi, dla którego praca i zarobkowanie jest nieuchwytnym marzeniem, pragnieniem a nie ciężkim obowiązkiem, musem. Życie jego jest wypełnione troską o zaspokojenie organicznej potrzeby odżywiania — chodzi dosłownie o zachowanie życia w czystym znaczeniu biologicznym.

Bardzo nędznie mieszka, bardzo źle się odżywia.

Ale jakie ma potrzeby kulturalne i poglądy na zewnętrzne zjawiska z obecnego typu organizacyjnego życia ludzi obok siebie? W jaki sposób dostają się do umysłu młodocianego te strzępy kultury duchowej, które choć trochę modelują i nadają wyraz wewnętrznej duszy chłopca lub dziewczyny ochotniackiej? Na to mogą odpowiedzieć w pierwszym rzędzie nauczyciele szkół powszechnych oraz... teoretycy propagandy. Umysł młodocianego zawalony jest nieprawdopodobnym śmietnikiem strzępów teorii różnorakiego typu. Wiadomości wyniesione ze szkoły powszechnej ulegają przeobrażeniom pod wpływem codziennych czynników zewnętrznych, których wartość wychowawczą najlepiej rozwinie propagandysta.

Ciekawe refleksje pod tym względem narzuca materiał wypowiedzi młodzieży ochockiej. Widać wyraźnie zwłaszcza w dziedzinie polityczno-społecznej, jak programy i hasła zwalczające się na górze grup inteligenckich przenikają w dół i w jakiej postaci wżerają się w umysł człowieka nizin. To przykład w jakiej treści dochodzi na dół modne i „podstawowe" tam na górze zagadnienie mniejszościowe i jak w nim mieszają się wiadomości ze szkoły z hasłami propagandowymi ugrupowań prawicowych i lewicowych.

Na pytanie, kto mieszka w Polsce znajdujemy takie odpowiedzi: 1) na najniższym szczeblu wykształcenia (brak nazw): „Mieszkają tu różne narody. Różne państwa. Różne ludzie. Polacy i inne ludzie, którzy tu przyjechali. Uczyłam się, ale czy ja wiem. I inne narodowości, połowa to nie Polacy. Polacy i cudzoziemcy, jak przyjdą. Dużo innych narodowości. I w ogóle prawie z każdego narodu. Niemcy, Żydzi i jeszcze jacyś, co przyjechali, nie pamiętam, jak się nazywają".

Według innego mieszkają w Polsce: „Rosjanie, Niemcy, Szwabi, Murzyni, Żydzi. jest strasznie dużo Niemców na kolonii Staszyca, prawie same Niemcy, jakieś tam Galicjaki".

Odpowiedzi na ogół są b. różne. Nie ma prawie 2 identycznych „Żydzi, Niemcy. — Niemcy, Rosjanie, Żydzi, — Francuzi, Niemcy, Żydzi, Białorusini — Niemcy, Rosjanie, Turcy, Litwini — Murzyni, Rosjanie, Niemcy, Żydzi — Francuzi, Żydzi Murzyni".

Na najwyższym szczeblu wykształcenia (ukończona szkoła powszechna) odpowiedzi są bardziej prawidłowe, typowo szkolne. Na pytanie, czy prawa powinny być równe dla wszystkich, odpowiedzi mają charakterystyczny posmak propagandowych haseł politycznych. Oto kilka jaskrawych, jako produkt filtracji „z góry na dół" do konsumentów: „Bezrobotni są dlatego, że Żydzi zajmują posady. Chciałabym, aby z Polski wypędzić Żydów; np. dyrektor Filharmonii i większość artystów powinni być Polacy, nie Żydzi".

„Żydów trzeba wygnać do Palestyny i przelać handel na ręce Polaków".

„By Polska wyszła z kryzysu, trzeba usunąć Żydów, a dać posady Polakom. Nie powinno być równych praw dla wszystkich, dla Żydów powinny być mniejsze".

„Niemcy powinni mieć mniejsze prawa, bo szykanują Polaków u siebie. Żydzi mogą mieć prawa równe, bo nie zagrażają Polsce".

„Żydów lubi, są czasem bardziej ludzcy niż nasi. Chodziła nawet z Żydem. Prawa powinny być równe".

„Wszyscy powinni mieć równe prawa, bo wszyscy jednakowo potrzebują żyć".

„Żydzi są też Polacy, więc powinni mieć prawa takie same; cudzoziemcy nie".

Charakterystyczne w tych wypowiedziach „żydowskich" jest to, że motywy rasowe i kulturalne nie występują ani razu. W antysemickich przeważa czynnik ekonomiczno-posadowy, w asemickich poczucie sprawiedliwości i humanitarności.

Chaos pojęć, sprzeczności logicznych daje się zauważyć mniej więcej jaskrawie i w dziedzinie „ideowo-politycznej". Nie sposób tego wyrażenia nie ująć w cudzysłów, mało bowiem ma ono wspólnego z zasadami teoretyczno - propagandowymi. Ludzie z t. zw. sfer inteligenckich jakże często operują w swych wypowiedziach pragnieniami, „powinnościami" i hasłami, a cóż dopiero mówić o poziomie tych z „nizin". Najdostępniejsze są im prymitywy i wielkie skróty uczuciowo-propagandowe, przejawiające się w szumnych i zachęcająco brzmiących hasłach. Chęć własnego awansu społecznego, ostra krytyka nędzy i bezrobocia, oraz mętne pojęcia o władzy i rządach stanowi razem przypadkową całość, zlepek ideowo-emocjonalny, będący bagażem światopoglądowym młodzieńca czy dziewczyny z Ochoty.

Dla metodologicznej analizy wpływów, kształtujących światopoglądy ludzi nizin społecznych, książka Anny Oderfeldówny stanowi ciekawy materiał. Ujęta w sposób chłodno naukowy w swych interpretacjach i wnioskowaniach nie czyni żadnych aluzyj politycznych, ani wyskoków humanitarno-społecznych, starając się dać tylko możliwie obiektywny, „ustalający" pogląd na sprawę.

Przychwycenie rzeczywistości młodzieżowej na terenie Ochoty, mimo niewątpliwie istniejących luk metodologicznych (nie metodycznych), narzuca uważnemu czytelnikowi refleksje różnego typu i hierarchicznego porządku. Nas, państwowców, skarlały, suchotniczy młodzieniec Ochoty obchodzi nie tylko z punktu widzenia ogólnoludzkiego, ale również i dlatego, że obrona kraju wymaga od przyszłych szeregowców i podoficerów dużego zdrowia dla wytrzymania trudów wojennych. Zbrodnią wobec państwa jest życie przyszłych matek i przyszłych żołnierzy w jednoizbowym lokalu w 14 osobowej gromadzie, na herbacie, kartoflach i jałmużniczej zupie. Zlikwidowanie bezrobocia i krzywdy społecznej, graniczącej ze zbrodnią, leży wyraźnie w płaszczyźnie interesów państwa i o tym nie ma co mówić. Oba te zagadnienia automatycznie rozwiązane być mogą tylko przez śmiałe koncepcje nowego systemu gospodarczego. Nikomu prócz państwa na tym nie zależy.

Ale nie o te refleksje w tej chwili chodzi. Są one zbyt znane, choć bardzo bolesne. Chodzi natomiast o refleks wychowawczy brak głębszego sensu życia, który tak wyraźnie przejawia się w tych młodocianych na Ochocie. Ich postawy psychiczne nie są nawet schorzałe: są żadne przez swą apatię lub pozorną łobuzerkę. Jakże śmieszą tych młodych z Ochoty o pustych brzuchach i wynędzniałym ciele wszelkie wzniosłe hasła miłości ojczyzny, praca dla państwa, i t. d.

Pamiętać należy, że wychowanie, a nie bohaterskość ustala przeciętność wzorcowego typu... Nie może być hodowli bohaterów. Stąd jasno wynika, że młodociany musi najpierw poczuć się człowiekiem a dopiero później Polakiem. Wychowanie nie stawia na cuda.

Można śmiało twierdzić, że nie tylko młodzieży ochockiej dotyczy ten brak sensu życia. W różnych warstwach nabiera on różnych odcieni i intensywności, rozciąga się i przeradza w całej Polsce w wielki krzyk tragiczny, jako pierwszy przejaw załamania się psychicznego na dalszą metę nieobliczalnego w skutkach. Stworzenie wielkiego sensu życia nie tylko na codzień, ale i na wielkie jutro, jest trudnym lecz imperatywnym nakazem dla twórczości uczuciowo-wychowawczej! (199).

WYDAWNICTWA NADESŁANE

Mjr. int. dypl. Roman Śliwa: „Produkcja i organizacja obrotu wełną krajową w Polsce", Warszawa, 1937 r., str. 97.

Inż. Aleksander Ringman: „Uprzemysłowienie a obrona państwa", Warszawa, 1937 r. nakładem Zarządu Głównego Towarzystwa Wiedzy Wojskowej, str. 207.

Julian S. Huxley i A. C. Haddon: „My Europejczycy". Przegląd zagadnień rasowych. Zeszyt I „Nowej Biblioteki Społecznej", Warszawa, kwiecień 1937 r., str. 160, z przedmową Ludwika Krzywickiego.

A. Gieraut: „Zjednoczenie mieszczaństwa polskiego", Warszawa, 1937, skład główny „Biblioteka Polska", str. 37.

„Zuchowaty" organ Koła b. Żołnierzy 5 p. p. I Brygady J. Piłsudskiego, zeszyt 14, Warszawa, 1937 r.

JAPONIA NA ROZDROŻU

Ostatnie wybory w Japonii ożywiły na pewien czas zainteresowanie opinii co do jej sytuacji wewnętrznej. Uproszczona recepta stosowana w takich przypadkach w polityce kuchni europejskiej, szukająca rozwiązania w konflikcie elementów prawicowo-totalnych z elementami demokratyczno-lewicowymi, zawiodła by zupełnie

Przede wszystkim ostatnie wybory nie były starciem stronnictwa wojskowego z narodem lecz z koncernami.

W Japonii rozrosły się one do potwornych rozmiarów: trzy rody skupiły w rękach swoich członków większość procesów gospodarczych, dyktując swoje warunki całemu państwu. Pierwszym paradoksem jest to, że koncerny te popierały lewe skrzydło społeczne, rzucając je przeciw polityce wojska. Nie zrobiły tego oczywiście dla zasad. To tylko taktyka: z dwojga złego decydują się na — ich zdaniem — mniejsze zło. Strach przed rosnącym wpływem armii podszepnął im to chytre ale na krótką metę obliczone stanowisko. Na dalszą metę panowie Mitsui lub Mitsubichi nie zaryzykowali by tego, zdając sobie sprawę z rzeczywistej siły ruchów lewicowych.

Ale polityka jest polityką, w tym wypadku raczej należałoby powiedzieć: *business is business*, więc takie nienaturalne związki mają swoją dobrze uzasadnioną kalkulację.

Ażeby ją zrozumieć, przyjrzyjmy się, na krótki moment, dwum problemom.

Pierwszy streszcza się w zdaniu: „Japonia boi się Rosji". Nie wierzy, aby kilkudziesięcioletnie zmaganie się o Mandżurię Rosja zakończyła poddaniem się, nie mówiąc już o ogólniejszej rywalizacji o wpływy w Azji. Rosja zaś, nauczona doświadczeniem, gromadziła na Dalekim Wschodzie groźną armię, zdublowała linię transsyberyjską, ufortyfikowała Amur i Władywostok, stworzyła potężne bazy lotnicze.

Proszę sobie uprzytomnić, że z Władywostoku do Osaki odległość jest taka, jak np.: z Londynu do Drezna.

Dla lotnictwa sowieckiego przebycie takiej przestrzeni jest fraszką, a ma do zbombardowania tylko dwa, trzy ośrodki przemysłowe, notabene w większości budowane nie z żelazo-betonu lecz z drzewa. I na odwrót: Japończycy nie bardzo mieli by co bombardować, zaś Władywostok jest nie do zdobycia.

Strategicznie najlepiej było by uderzyć na linię Bajkału, do tego jednak potrzeba dwóch rzeczy: przedwstępnych przygotowań w Chinach i Mongolii i po drugie: pieniędzy. Dużo pieniędzy.

Teraz problem drugi: ekonomiczny.

W latach 1930 — 1950 Japonia musi lokować corocznie na rynku pracy około 250.000 ludzi. Ale gdzie? Wieś jest przeludniona, emigracja beznadziejna (zresztą Japończycy nie chcą emigrować). Jako lekarstwo pozostaje uprzemysłowienie. Niestety już dzisiejszy przemysł leży na chłopskich plecach i nie jest wcale pewne, czy wytrzymają one ciężar dalszego uprzemysłowienia.

To są właśnie gliniane nogi japońskiego kolosa. Armia zdaje sobie z tego sprawę: popiera wieś i sympatyzuje z nią. Potężne stowarzyszenie byłych żołnierzy ma swoje oddziały niemal w każdej wiosce, prowadząc politykę prowojskową. Niestety chłopi w wyborach nie odgrywają wielkiej roli. Armia chce przerzucić w jakiś sposób koszty na plecy „silnych i możnych krainy Wschodzącego Słońca", to znaczy na koncerny. Oczywiście — kamień obrazy. Poza tym jednak armia żąda nowych, wielkich wydatków na wojsko, to znaczy podatków i obciążeń. I te chciała by ulokować przede wszystkim na rynku miejskim. Nowe nieporozumienie. Przemysłowcy i finansiści są bowiem zdania, że ciężary obrony narodowej winni ponieść chłopi. Zresztą może jest nawet inaczej: może w ogóle wyrzekli by się polityki dużych zbrojeń, bo to kosztuje, a oni nie mają w tym bezpośredniego interesu. Mają wewnątrz monopol, komunizmu w Japonii nie obawiają się. Po zdobyciu więc Mandżurii, która na długo zaabsorbuje ich wysiłki i kapitały, woleli by głosić hasło: *pax japonica* i nie szukać zwady z Rosją. To drugi paradoks. Tak więc sfery gospodarcze chciały by popierać politykę kół wojskowych ale kosztem wsi i chłopa i to politykę nie zbyt ryzykowną i agresywną. Bo o ile Japonia jako państwo ma w awanturniczej polityce dużo do wygrania i dużo do stracenia, to domy wielko-kapitalistyczne mają bardzo dużo do stracenia, a mało do wygrania.

Koła wojskowe mają na celu widoki ogólno-państwowe, imperialistyczne; koła gospodarcze — widoki kapitału i równowagi ekonomicznej, niezbędnej do pomyślnych operacyj finansowych.

Gdyby nie stanowisko wojska w sprawie chłopskiej, szły by zgodnie. Ta sprawa jednak dzieli ich. Ponieważ wojsko ma decydujący wpływ faktyczny na sprawy państwa, a sfery gospodarcze, w oparciu o większość parlamentu, będącego ich wyrazicielem — wpływ nie mniej potężny, przeto sytuacja wewnętrzna stanęła na martwym punkcie. Impas jest rzeczywiście głęboki.

Cesarz — czynnik najwyższy — jest w sytuacji delikatnej i drażliwej. Obie strony prą do wypowiedzenia się za jedną lub drugą.

Trudno wypowiedzieć się przeciw wojsku, gdyby nawet Mikado był przekonany, że nie ma ono racji, niewątpliwie ma w pamięci krwawą masakrę z 26 lutego, bunt wojska, z trudnością zażegnany wtedy obietnicami; trudno również wypowiedzieć mu się przeciw parlamentowi i przeciw woli narodu.

Wola narodu! I tu dotykamy trzeciego paradoksu. „Wola narodu" jest właściwie trzecią stroną w tej grze. Fikcją jest, wynikającą z taktyki koncernów i z ograniczonej ordynacji wyborczej, — że wola narodu stoi za koncernami i przeciw wojsku.

Ale tu już sprawa jest bardziej skomplikowana. Chłopi są raczej nastrojeni prowojskowo, proletariat miejski i inteligencja miejska niezorganizowana ulega nastrojom lewicowym, wrogim obu partnerom w obcej rozgrywce politycznej.

Zwłaszcza wzmaga się na siłach „Rada Ludowa Robotnicza i Chłopska" (Kanju Kato), kierująca całym ruchem lewicowym.

Reszta mieszczaństwa, zorganizowana w partiach politycznych popiera parlamentarne partie: Minseito i Sejukai a więc koncerny.

Wola narodu więc, jak zresztą zwykle, jest podzielona i w żadnym razie wyniku ostatnich wyborów nie można oceniać jako zasadniczych, określających istotny stosunek sił, choć niewątpliwie wynik wyborów można określić jako faktyczne zwycięstwo sfer wielko-kapitalistycznych.

Co będzie dalej? Trudno bawić się w proroka, zwłaszcza politycznego, w polityce fach ten bardzo nie popłaca. Ale można zaryzykować przypuszczenie, iż wojsko, najpotężniejszy czynnik w życiu wewnętrznym Japonii, nie zmieni swej polityki (zresztą nie może tego zrobić) i postara się wolę swą przeprowadzić. A jaką drogą? Dróg tych jest wiele. (432).

ŁADNE „WYTĘŻANIE SIŁ"

P. Janusz Groszkowski, profesor Politechniki Warszawskiej i dyrektor Państwowego Instytutu Teletechnicznego, podległego Ministerstwu Poczt i Telegrafów, oświadczył w dniu 23 bm. na walnym zgromadzeniu Stowarzyszenia Elektryków Polskich, co następuje:

„Kraj nasz w dziedzinie elektryfikacji i uprzemysłowienia w dzisiejszym wielkim wyścigu postępów techniki znajduje się jeszcze po za innymi krajami świata. Należy przeto wytężyć wszystkie siły narodu i skupić całą wolę jego obywateli — Polaków, aby odrobić zaniedbania ubiegłych lat".

W związku z tym „wytężaniem sił" drukujemy poniżej nadesłany nam przez wybitnego fizyka memoriał z roku 1932, który mimo upływu 5 lat „wytężania sił" przez p. Groszkowskiego, nic nie stracił na aktualności, gdyż:

1) w dalszym ciągu polskiej produkcji i regeneracji lamp próżniowych nie ma,

2) nadal opanowana jest nasza radiotechnika przez kapitał obcy,

3) nadal wydaje państwo olbrzymie środki budżetowe na kupowanie lamp od skartelizowanego przemysłu zagranicznego.

Wszystkie szczegóły związane z tą sprawą, jak i nazwisko autora, gotowiśmy zawsze podać do wiadomości Pana Premiera, Pana Ministra Spraw Wojskowych i Pana Szefa Sztabu Głównego.

*

SPRAWA LAMP ELEKTRYCZNYCH

Lampa próżniowa dwu- lub trójelektrodowa dla współczesnej radiotelegrafii, a szczególnie radiofonii, jest to tak zasadniczy element, że niepodobna nawet sobie wyobrazić, jak bez niej mogła by obecnie ta dziedzina elektrotechniki wyglądać. To też w miarę rozwoju i popularyzacji radiotechniki, czyli mniej więcej od roku 1924, wśród sfer elektrotechnicznych wciąż nurtowała myśl krajowej produkcji i rozwoju tej podstawowej komórki wiedzy technicznej, którą radiotechnicy uprawiają.

Jeżeli chodzi o małe lampy odbiorcze, to potrosze przyzwyczajono się do tego, że należy kupować odpowiednie lampy zagraniczne. Z czasem zainstalowały się w kraju dwie takie firmy zagraniczne pod nazwami: **„Polski Philips"** i **„Polski Marconi"**, które prawdopodobnie miały ratować honor tej gałęzi polskiego przemysłu próżniowego.

Mimo to wśród poważniejszych kół radiotechnicznych myśl stworzenia prawdziwie krajowej placówki produkcji lamp radiowych w dalszym ciągu była aktualną; na terenie Politechniki Warszawskiej stale ją podnoszono, wciąż o tym mówiono. Ja ze swej strony również nieraz zabierałem głos w tej sprawie, gdyż jako fizyk, zajmujący się badaniami związanymi z wytwarzaniem próżni, naturalnie miałem tutaj wiele do powiedzenia. Dla orientacji wypada nadmienić, że w tych czasach wytwarzaniem wysokiej próżni zajmowali się wyłącznie fizycy, a wśród tych ostatnich t. z. prace próżniowe były uważane za bardzo kłopotliwe ze względu na trudności opanowania samej techniki próżniowej. Wśród sfer technicznych próżniowa technika była zupełnie nieznana. Były coprawda w tym kierunku robione pewne próby, ale bez żadnego powodzenia. Nie biorę tutaj pod uwagę wyżej wspomnianych dwóch firm — nawet jako t. z. „polskich", gdyż te firmy na kierowniczych technicznych stano-

wiskach mają wyłącznie siły zagraniczne, tak iż z Polaków bodaj nie ma tam nikogo, kto by się jako tako znał na technice wytwarzania próżni.

Sprawa istnienia stałego źródła lamp radiowych szczególnie ważną była dla M. S. Wojsk., albowiem Służba Łączności w coraz większym stopniu używała tego artykułu dla swych celów i w ten lub inny sposób z konieczności musiała postarać się o stałe źródło, mogące w dowolnej ilości podjąć się dostawy odpowiednich lamp dla wojska. Prawdopodobnie na tle takich oto warunków między M. S. Wojsk. z jednej strony, a wyżej wymienionymi firmami z drugiej, powstały ścisłe umowy, zapewniające M. S. Wojsk. możność stałego nabywania pewnych typów lamp prostowniczych i nadawczych, firmom zaś umowy te zapewniły stałego, pewnego i dobrze płacącego odbiorcę. Naturalnie, jak mi wiadomo, firmy te postarały się dla siebie o dość daleko idące prawo wyłączności, tak, iż faktycznie mają one dotychczas monopol na dostawę lamp radiowych dla M. S. Wojsk. Mimo to często słyszało się narzekania na taki stan rzeczy. Podnoszono m.in. dwie zasadnicze niedogodności wiązania się M. S. Wojsk. z firmami zagranicznymi — mianowicie: 1) możliwość niedostatecznego zaopatrzenia armii na wypadek wojny. Obawa ta jest zupełnie uzasadniona z uwagi choćby na to, że ani **Philips** ani **Marconi** większych lamp prostowniczych i nadawczych, używanych przez Wojska Łączności, w kraju nie wyrabiają. W razie więc potrzeby wojennej nie można by zbyt prędko — nawet na gruncie tych fabryk, — uruchomić produkcji tych właśnie najniezbędniejszych lamp, 2) z drugiej strony zwracano uwagę na tę okoliczność, że w takim stanie rzeczy wojsko zmuszone jest przystosowywać swój sprzęt radiowy do nadsyłanych lamp, gdy powinno być odwrotnie — powinniśmy mieć takie lampy, jakie są dla naszych warunków najstosowniejsze, czyli dostosowywać lampy do naszego sprzętu radiotechnicznego.

Zważywszy wyżej wyłuszczone okoliczności, będzie rzeczą zrozumiałą, dlaczego Dyrekcja Instytutu Radiotechnicznego (prof. Janusz Groszkowski) poleciła mi na jesieni 1932 r. zorganizowanie odpowiedniej pracowni próżniowej.

Jako najbliższe zadanie tej pracowni było przeprowadzenie regeneracji zużytych lamp prostowniczych i nadawczych, używanych u nas przez Wojska Łączności. Od pomyślnego wykonania tego zadania miał być zależny dalszy rozwój całego tego przedsięwzięcia. Sprawa była bardzo ważna pod względem państwowym, zagadnienie interesujące mnie jako fizyka, poza tym od Dyrekcji otrzymałem bardzo daleko idące obietnice co do przyszłych warunków mej twórczości, wziąłem się więc do należytego rozwiązania postawionego mi zadania z całym zapałem i wielkim nakładem pracy. Trudności, na które natrafiłem, były stosunkowo bardzo znaczne. Chodzi bowiem o to, że firmy wyrabiające podobne artykuły otaczają metody swej produkcji bardzo ścisłą tajemnicą, tak, iż nie ma mowy o tym, aby można było gdzieś zobaczyć, jak się to wszystko praktycznie wykonywa. Literatura natomiast, dotycząca tego przedmiotu, jest naturalnie bardzo rozległa, ale w niej nigdzie nie mogłem znaleźć bardziej konkretnych informacyj. Należało się więc kierować pewnymi ogólnymi zasadami, nabytymi jeszcze z pracy czysto naukowej; pewne natomiast praktyczne sposoby produkcji musiałem raczej zgadywać, posługując się intuicją, nie zaś konkretnymi danymi, do tego stopnia, że narazie trudno było wynaleźć źródła surowców potrzebnych do produkcji lamp elektrycznych. W każdym razie przygotowawcze prace, polegające głównie na szperaniu w książkach i katalogach, zajęły mi parę miesięcy.

Ostatecznie po upływie niespełna czterech miesięcy od chwili rozpoczęcia pracy w Instytucie, zakomunikowałem Dyrekcji, że lampy te bezwarunkowo regenerować można, a po miesiącu, przy bardzo jeszcze skromnych środkach technicznych udało mi się pierwsze dwie, czy trzy lampy o mocy ¼ kw zregenerować. Zdarzenia tego nie ukrywałem, a Dyrekcja ze swej strony zapraszała wiele wysoko postawionych osób do pracowni, które osobiście mogły obserwować, jak ta praca istotnie wygląda. Fakt ten jest więc publicznie znany i może być poparty zeznaniami osób, które wtedy pracownię odwiedziły.

Jak poprzednio zaznaczyłem, moment szczęśliwego wypompowania pierwszych lamp miał być przełomowym dla całej sprawy. Od tej chwili, jak sądziłem, powinien nastąpić dalszy celowy, systematyczny i prawidłowy rozwój całej pracowni. Trzeba się chyba zgodzić na to, że możność regeneracji — nawet doskonałej lampy, to jeszcze nie jest przeprowadzenie całkowitego uniezależnienia radiotechniki od wpływów zagranicy. Nawet jeśli chodzi o przyjmowanie, czyli kwalifikowanie zdatności lamp, to, jak wiadomo, odbywa się ono na podstawie urzędowych t. zw. „warunków technicznych". Otóż „warunki" te muszą pochodzić z jakiegoś źródła obcego, gdyż dotychczas nie posiadamy rodzimej placówki, mogącej racjonalnie podobne przepisy kwalifikacyjne opracować. Właśnie pracownia, którą stworzyłem, powinna była to uzależnienie się od wpływów zagranicznych należycie usunąć.

Na to jednak trzeba odpowiednio postawić pracownię pod względem pomiarowo-badawczym, narazie zaś była ona zaledwie powołana do istnienia. Następnie należy przewidywać produkcję lamp zupełnie nowych, może lepszych od dostarczanych przez owe dwie uprzywilejowane firmy zagraniczne. Na to również koniecznym jest pewien rozwój pracowni pod względem technicznno-badawczym. Wreszcie istnieje cały szereg dziedzin pokrewnych, jak telewizja, telemechanika i t. d., które również są związane ze znacznym rozwojem pracowni próżniowych, a które dla wojska nie mogą być obojętne. Aby jednak można było myśleć o własnej wytwórczości w tym kierunku, to najpierw trzeba pomyśleć o dostatecznym posunięciu naprzód strony badawczej w pracowni. Biorąc pod uwagę wyżej przytoczone motywy, najważniejszą dążnością moją na przyszłość było, doprowadzenie strony pomiarowej nowoutworzonej pracowni do możliwie daleko posuniętej doskonałości, przy jednoczesnym rozwoju jej sprawności i wydajności. Szczególnie zaś bardzo chodziło mi o możliwie dokładne mierzenie próżni, gdyż na tej właśnie próżni i na jej mierzeniu musi polegać wartość wszelkich artykułów, do których wytwarzania ta pracownia mogła być powołaną.

Otóż co do moich zamierzeń na przyszłość i kierunku dalszego rozwoju całej pracowni, natrafiłem ze strony Dyrekcji (prof. Janusz Groszkowski) *na zupełne zlekceważenie moich zabiegów*, a później nawet na zdecydowany opór. Mimo to, ja ze swej strony póki mogłem, w dalszym ciągu rozwijałem pracownię, tak, że doprowadziłem do tego, że można było w niej dziennie całkowicie zregenerować 6 lamp używanych przez Wojska Łączności o mocy ¼ kw. co ze względu na znaczną cenę tych lamp w handlu—(M.S.Wojsk za sztukę płaciło wówczas około 400 zł.) czyni wcale poważną produkcję pracowni. Jeżeli zważymy, że koszty utrzymania pracowni wraz z mymi poborami i poborami całego personelu pomocniczego — nigdy nie przekraczały 1000 zł. miesięcznie, to widać, że pracownia pracowała bardzo oszczędnie.

Jeżelibyśmy nawet tylko w ramach pracowni stale regenerowali 6 lamp dziennie, przy tylko 20 dniach pracy w miesiącu, wartość naszej produkcji wynosiłaby rocznie 576.000 zł. przy kosztach nie przekraczających 12.000 zł., czyli oszczędność skarbu państwa (wojska) wynosiłaby 564.000 zł. rocznie. Dodając do tego, że pracownia regenerowała te lampy w cenie 80 zł. za sztukę, dojdziemy do przekonania, że pracownia sama doskonale mogłaby się utrzymać i rozwijać — dając jeszcze bardzo znaczne oszczędności dla M. S. Wojsk, wliczając nawet stosunkowo znaczne wydatki na jej dalszy rozwój. Jak wykazało badanie, lampy przez nas regenerowane pracują nie gorzej od lamp nowych firmowych, o czym mogą zaświadczyć odpowiednie czynniki. Przyczyną tak dobrego wyniku mogła być jedynie dobroć próżni w lampach, czyli próżni otrzymywanej w naszej pracowni.

Mimo faktu, że niewątpliwie mogłem wylegitymować się coraz lepszym rozwojem sprawności pracowni i coraz lepszymi urządzeniami w niej, *Dyrekcja nie przestawała zwalczać moich zamierzeń*. Jako podwładny, przytem pracownik kontraktowy, nie miałem faktycznie możności przeciwstawić się różnym *dziwnym zarządzeniom*, tak iż doszło do tego, że obecnie w tej pracowni próżniowej zupełnie nie mierzy się próżni i nie ma żadnego wmontowanego manometru wysokopróżniowego. Nie znaczy to bynajmniej, aby obecnie pompowane lampy miały całkiem złą próżnię, albowiem na podstawie poprzednio uzyskanych danych, z różnych ubocznych zjawisk, można do pewnego stopnia sądzić, czy w danej pompowanej lampie próżnia jest dostateczna, co istotnie robi się i daje niezłe wyniki. Jest to jednak praca ryczałtowa i zdawkowa i jako taka nie może dawać lepszych widoków na przyszłość. Moim zdaniem, gdzie jak gdzie, ale w Instytucie stanowczo powinno być inaczej.

Streszczając wszystko to co poprzednio było omówione i wyprowadzając odpowiednie wnioski, możemy stwierdzić:

1) Sprawa stworzenia pracowni, mogącej regenerować lampy w kraju powiodła się całkowicie. a) Około 250 lamp, o mocy ¼ kw., nowoutworzona pracownia zregenerowała z zupełnie dobrym wynikiem. b) Poza tym zregenerowaliśmy w pracowni około 15 lamp dużych o mocy 1,5 do 2 kw dla Polskiego Radia i dla Ministerstwa Poczt również z dobrym wynikiem.

2) a) Ta sama pracownia wyprodukowała 20 lamp o mocy ¼ kw zupełnie nowych. Poza tym wyprodukowała kilkadziesiąt lamp specjalnych, dla celów badawczych w Instytucie i Politechniki Warszawskiej. Z tego wynika, że zakres działalności pracowni posunął się dalej, niż początkowo było to przewidziane.

3) Pracownia początkowo była prowadzona w ten sposób, aby jej wytwórczość można było oprzeć na jedynie w tym przypadku mocnych podstawach pomiarowych. Obecnie kierunek początkowy został zaniechany i pracownia jest prowadzona jak gdyby w kierunku naśladownictwa wielkiego przemysłu. Skutek jest taki, że obecnie pracownia pracuje mniej sprawnie i mniej wydajnie, przytem, jeżeli chodzi o zasadniczy

czynnik dobroci wytwarzanych artykułów, czyli o dobroć próżni, — to stanowczo późniejsze lampy mają próżnię gorszą od lamp wypompowanych na początku istnienia pracowni. Jest to naturalna konieczność tego, że obecnie próżni w ogóle się nie mierzy i wszystko za tym przemawia, że jak tak dalej pójdzie, to pracownia będzie wypuszczała coraz gorszy produkt.

4) Wobec bardzo wysokiej ceny handlowej wytwarzanych przez pracownię artykułów, ceny ustanowionej przez odpowiednie wielkie firmy zagraniczne, i stosunkowo nieznacznych kosztów utrzymania pracowni, pracownia ta doskonale mogłaby się rozwijać z własnych dochodów, dając jeszcze bardzo znaczne oszczędności państwu w pozycji wydatków na łączność. Narazie dotychczasowa działalność pracowni niezawodnie wpłynęła na to, że firmy dostarczające lampy *w ostatnich czasach obniżyły cenę dostarczanych artykułów prawie o połowę.*

5) Przy należytym postawieniu pracowni pod względem badawczo-technicznym, z czasem pracownia mogłaby podjąć się produkcji nie tylko typowych lamp używanych przez wojsko, ale nawet wielokilowatowych lamp używanych we współczesnych radiostacjach nadawczych i w ten sposób zupełnie obsłużyć zapotrzebowanie krajowej radiotechniki.

6) Poza radiotechniką w ścisłym tego słowa znaczeniu, obecnie rozwija się wiele gałęzi elektrotechniki, ściśle związanych z rozporządzalnością dobrej pracowni próżniowej, np. kino dźwiękowe, telewizja, telemechanika, Röntgenetyka i t. d. Te dziedziny krajowej produkcji dotychczas zupełnie leżą odłogiem. Z czasem na gruncie naszej pracowni możnaby się do tych pokrewnych dziedzin zabrać, o czym zresztą dawno myślałem.

7) Ostatecznie chyba nic nie stoi na przeszkodzie, abyśmy z czasem mogli produkty naszej pracowni próżniowej eksportować za granicę, do naszych sąsiadów na wschodzie. Są na to nawet pewne widoki, wiem mianowicie, że Grecja i Jugosławia zgłosiłą swą ofertę do Warszawy na regenerację lamp dla nich i to tych samych typów, które już regenerowaliśmy.

*

W związku ze „Sprawą lamp elektrycznych używanych przez Wojska Łączności" dowiedziałem się z wiarogodnego źródła, że M. S. Wojsk i Ministerstwo M. P. i T. są obecnie w toku pertraktacji z firmą *„Marconi"*, której, jak się okazuje pewne sfery chcą całkowicie przekazać wszelkie dostawy lamp radiowych dla M. S. Wojsk, jak również dla M. P. i T.

Podobno firma ta chce zbudować odpowiednią fabrykę w kraju, żąda jednak od rządu zapewnienia zamówień na sumę około 6.000.000 złotych.

Istotnie *„Marconi"* jest to jeden z największych międzynarodowych koncernów tego przemysłu i niewątpliwie może podołać przyjętemu na siebie zadaniu. Jest jednak również zupełnie pewnym, że w ten sposób załatwione zaopatrzenie naszej armii w odpowiedni, a tak ważny sprzęt, nigdy nie da nam istotnego uniezależnienia się w tej dziedzinie od wpływów zagranicy. Tymbardziej nie może być w takim razie mowy o zachowaniu tajemnicy wojskowej i to ani obecnie, ani na wypadek wojny.

Firma taka bowiem zawsze ma możność tak zorganizować swą produkcję, że nikt z Polaków nie będzie wiedział, co się tam naprawdę robi i jak się robi, natomiast doskonale będą się w tym orientowały centrale tych firm, składające się z osób dla nas zupełnie obcych, a działające gdzieś zagranicą. Taki zresztą stan rzeczy mamy obecnie w istniejącym już na naszym gruncie *„Polskim Philipsie"*, na to powyżej miałem sposobność zwrócić uwagę.

Jako najważniejszy argument, mający przemawiać za całkowitym oddaniem sprawy zaopatrzenia armii w odpowiedni sprzęt radiotechniczny wielkim firmom zagranicznym, jest wysuwana przez zwolenników tej koncepcji ta okoliczność, że tych lamp potrzebujemy bardzo wiele i coraz więcej będziemy ich potrzebowali. Szczególnie zaś zapotrzebowanie nasze wzrośnie na wypadek wojny, tak, iż temu nie podołamy.

Przyznam się, że osobiście, wiedząc doskonale na czym polega owa w tej dziedzinie przemysłu tak ściśle chroniona — tajemnica produkcji, niezbyt byłem zdziwiony tym rozpaczliwym ze względu na dobro własnego kraju poglądem. Otóż takiego zdania mogą być wszyscy ci, którzy tego artykuły sami nie produkowali, natomiast zwiedzali — z konieczności pobieżnie — urządzenia różnych wielkich firm zagranicą. Takie zwiedzanie niewątpliwie dużo może dawać zwiedzającemu, należy jednak mieć na uwadze, że to co uważano za stosowne nam pokazać, nie było tą najistotniejszą stroną produkcji, że natomiast widzieliśmy wiele rozmaitych zawikłanych i tajemniczych urządzeń, które jak wiadomo w firmach próżniowych z zewnątrz bardzo chętnie są pokazywane, prawdopodobnie jedynie dla zamydlenia oczu, czy też dla usprawiedliwienia wysokiej ceny wytwarzanych przez siebie artykułów.

Jako ten, który z konieczności musiał wniknąć w zasadnicze momenty produkcji lamp próżniowych, budując z gruntu nową pracownię według własnego planu, pracownię, która na małą skalę potrafiła wytwarzać odpowiedni artykuł z zupełnie dobrym wynikiem, z całą stanowczością twierdzę, że sprawa o której mowa, bynajmniej nie przedstawia się tak tragicznie. Jeżeli natomiast chodzi o przeznaczenie na ten cel pewnych znaczniejszych kapitałów, to nie za 6.000.000.— zł., a za ¼ tej sumy można by zbudować odpowiednią fabrykę własnymi siłami, a za rok lub dwa moglibyśmy wypełnić zapotrzebowania naszego państwa i wtedy dopiero można będzie mówić o istotnym uniezależnieniu naszej Służby Łączności od wpływów zagranicy i o zachowaniu tajemnicy wojskowej.

Kończąc te krótkie dodatkowe uwagi do interesującej nas sprawy, trudno istotnie oprzeć się pewnym uogólnieniom, że niekiedy w traktowaniu ważnych pod względem państwowym spraw przez pewne czynniki oficjalne, widać wyraźną chęć unikania wszelkiej odpowiedzialności, a może chorobliwej nieufności we własne siły. Zwróćmy przecież uwagę na to, że oddając pewien dział przemysłu firmom zagranicznym, my wcale nie rozwijamy naszej wewnętrznej zdolności i sprawności wytwórczej. Jest to zamykanie oczu na smutną rzeczywistość, że pod względem technicznym stoimy na szarym końcu rodziny kulturalnych narodów.

Naturalnie najprostszym i zarazem najłatwiejszym sposobem załatwienia sprawy będzie — oddanie firmom zagranicznym wszelkich dostaw rządowych. Wojsko w ten prosty sposób będzie dostatecznie zaopatrzone w sprzęt radiotechniczny, ale trzeba zgodzić się z tym, że w ten sposób kwitujemy z rozwoju tej gałęzi przemysłu istotnie krajowego.

Lampy, dostarczane przez firmę *„Polski Marconi"*, będą napewno niezłe, ale musimy być przygotowani na to, że firma ta będzie nam dawała to, co uważać będzie za stosowne, i na to nie ma rady, podobnie zresztą, jak to czyni firma *„Polski Philips"*.

Bądźmy również przygotowani na to, że czy prędzej, czy później powtórzy się i tym razem historia, jaką obecnie obserwujemy z przemysłem samochodowym u nas i ten smutny fakt, że formalnie pewnej jakości artykuł sprowadzany wprost z zagranicy, mimo ceł protekcyjnych — jest na ogół tańszy i lepszy, niż takiż produkt wyrabiany przez przemysł „quasi" krajowy. Skutek jest ostatecznie taki, że obecnie samochodów mamy w kraju mniej, niż mieliśmy przed rozpoczęciem forsownej i bardzo kosztownej akcji motoryzacji kraju.

Streszczając uwagi do sprawy lamp elektrycznych, dodam do powyżej zestawionych siedmiu wniosków — ósmy:

8) Nie powinniśmy wiązać się z żadną firmą obcą, gdy znacznie tańszym kosztem możemy należycie rozwinąć odpowiedni dział przemysłu krajowego. Jeżeli chodzi o lampy elektryczne używane przez Służbę Łączności, to niema w wykonaniu tego wniosku obecnie żadnego ryzyka, lecz należy się zdobyć na trochę przedsiębiorczości i ufności we własne siły.

GŁOSY I ODGŁOSY

BEZ NAZWISKA

P. Marcel Aymé zastanawia się w **Marianne** nad sytuacją, jaka by się wytworzyła gdyby pisarze nie podpisywali swoich dzieł. Coprawda „Dobrze jest móc napisać autorowi, że jest ostatnim idiotą, albo, że się podziwia w nim piękną duszę, albo jeszcze, że nie umie sobie radzić z przestankowaniem. Podobne grzeczności stanowią niejako współpracę między czytelnikami i pisarzami, a miłość książki tylko na tym zyskuje". Szkoda jednak, że w Rosji, gdzie zniesiono prawo własności w przemyśle, nie spróbowano nałożyć na pisarzy ścisłej anonimowości, podpis bowiem utrzymuje w mocy ich prawo własności do napisanych dzieł, świadcząc jednocześnie o indywidualizmie dość niezgodnym z duchem doktryny. Taka wielka zmiana wywołała by przede wszystkim zbawienny wpływ na nauczanie literatury. Musiano by siłą rzeczy zrezygnować z obrabiania biografii na ogół mało ciekawych, a w dodatku często zniekształcanych na użytek „morału". Wtedy może zaczęto by już nie rozprawiać o autorach, ale... czytać ich dzieła. I nie zdarzyłyby się takie skandale jak przy wystawieniu „Don Karlosa" w Berlinie. Jak wiadomo Fryderyk Schiller jest uznany oficjalnie za hitlerowca, niedawno wydana książka nosi taki tytuł bez ogródek. „Schiller pierwszy narodowy-socjalista".

Nie wszystko jednak, co napisał wielki poeta, da się nagiąć do ciasnej doktryny. Mianowicie sławna „tyrada markiza Pozy zwrócona do króla Filipa II wywołuje co wieczór burzę oklasków wśród publiczności. Miesięcznik Wola i siła (Wille und Macht) stwierdza nie bez rezygnacji: „oklaski wywołane przez ową scenę są spowodowane ogniem samym, który ożywia słowa Pozy, jasno jednak wynika z tego, że naszej publiczności brak jeszcze przyzwyczajenia do politycznego myślenia".

Nie mniej jasno wynika, że nie należy imion wielkich pisarzy używać nadaremno! I tej szkodliwej manii położyłaby kres anonimowość autora. O ile jednak zastosowanie jej do literatury budzi grube wątpliwości, o tyle wątpliwości nie ulega, że w polityce mogłaby dać daleko sięgające wyniki. Może by treść wreszcie odzyskała swoje prawa, może już by nie wystarczało krzyczeć cokolwiek bądź, byle pod odpowiednim stemplem partyjnym. Wymagało by to coprawda od czytelnika większego wysiłku, a od politycznego publicysty większego poczucia odpowiedzialności.

TYRANIA SŁÓW

P. Paul Hazard, profesor Collège de France pisze w **Nouvelles Litteraires** o wyolbrzymianiu znaczenia pewnych słów, o nadawaniu im mocy niejako mistycznej. „Gdy się rozważa słownictwo polityczne, uderza następujący fakt: słowa nabierają obecnie wartości talizmanu, wartości magicznej.

Gdy się je tylko wymawia spuszcza się z łańcucha ciemne moce: słowo **socjalny** wydaje się tak potężne, że partie kłócą się o jego wpływy. **Faszystowski** wyzwala furie: historycy przyszłości będą mogli pisać tezy o powodzeniu i niedolach tego słowa. Oto nie mówi się już chłopi, ale **chłopstwo**: i w to wyrażenie kładzie się cierpienie i gniew, protesty i rewoltę. Zgromadzenie, zebranie nie przedstawiają niebezpieczeństwa: ale inaczej **meeting; meeting** mobilizuje straż i policję".

W Polsce jesteśmy świadkami podobnego zjawiska. Partia to nieledwie synonim małości, rzecz stara i wyświechtana, ale **obóz** kryje w sobie, nieograniczone możliwości. Żydzi to obywatele, kupcy, rzemieślnicy, ale **żydostwo** to masa: ciemna potęga, zabobon. I w odwrotnym porządku: bomba przeraża możliwościami wojny domowej, widokami zniszczenia i krwi, podczas gdy **petarda** to zabawa, wyładowanie nadmiaru energii młodzieńczej, ot dziecinny figiel.

„Nowy duch został nadany tłumowi terminów już używanych, ale stosowanych obecnie w taki sposób, że są, prawdę mówiąc, nie do poznania. Ich wartość wzruszeniowa zmieniła się kompletnie. Mimo swej abstrakcyjności niektóre stają się wyrazem namiętności, krzykami gniewu, groźby, uwielbienia... „tak mówi pan Brunot, opisując w swej „Historii języka francuskiego", wielką rewolucję francuską.

„I — dodaje p. Hozard — zastanawiające jest gdy się widzi do jakiego stopnia te uwagi można zastosować do rewolucji, którą przeżywamy obecnie".

Gdy jedne słowa budzą nieograniczone nadzieje, inne wywołują gwałtowny sprzeciw. „Arystofanes wyśmiewa u ludu ateńskiego przejęcie się tymi dwoma słowami: tyrania i spisek. Jeśli jakiś obywatel chce kupić ryby i woli barweny od dorad, sprzedawca dorad woła: „oto człowiek który wygląda mi na to, że robi zapasy spodziewając się tyranii".

Czy nie dzieje się podobnie w polityce? Gdy człowiek do tego powołany chce cokolwiek przeprowadzić, czyż nie słyszy natychmiast głosu polityków: „demokracja, liberalizm, wolność, naród". „Czyż nie było by możliwe — pyta Arystofanes — nie bijąc się, nie krzycząc aż do ogłupienia naradzić się razem i porozumieć?"... z pominięciem zawodowych krzykaczy.

GŁOS LUDU

„Gdy należałem do partii socjalistycznej — pisze p. E. Bure w **Vendemiaire** — jeden z czynnych członków partii, nazwiskiem Zimmer, dziś już zapomniany, wywołał skandal, nazywając masę wyborczą bezkształtną, bezwolną! Każdy z nas w głębi duszy przyznawał mu rację, ale każdy bał się do tego przyznać, w obawie by masa, o której mowa nie kazała drogo zapłacić kandydatom socjalistycznym, za pogardę, której była publicznym obiektem w łonie ich organizacji centralnej.

Demokracja, dla socjalistów, jest środkiem, a nie celem; celem dla nich jest rewolucja, która domaga się dyktatury „dyktatury proletariatu" według Karola Marksa, dyktatury nad proletariatem, jak i nad wszystkimi innymi klasami, według tych którzy widzą jej działanie w Rosji. „Jako marksiści, mówił w 1919 Trocki, nigdy nie byliśmy bałwochwalcami demokracji istotnej".

„Prawdę mówiąc, dziennikarze posłowie i ministrowie socjalistyczni przywiązują może mniejszą wagę do sprawy wyborczej niż nam to pozwalają myśleć".

A czyż mogło być inaczej. Kto wie, jak działa propaganda, kto przeszedł walkę wyborczą i zdaje sobie sprawę, ile we wszystkich hasłach jest demagogii i ile w tłumnych decyzjach owczego pędu, ten „władztwo ludu" musi stawiać pod znakiem zapytania.

PALCEM PO MAPIE

Rozjazd koronacyjnych gości z Londynu przeniósł na parę dni dyplomatyczne centrum Europy do Brukseli. Rozmowy francuskiego ministra spraw zagranicznych Delbosa z premierem Van Zeelandem i ministrem spraw zagranicznych Spaakiem, jednodniowa nieoficjalna wizyta ministra J. Becka i norweskiego ministra spraw zagranicznych Kohta — wszystko to stanowiło dalszy ciąg kontaktów, nawiązanych z okazji uroczystości londyńskich.

Rozmowy te oczywiście nie posiadały identycznych tematów. Jeśli Delbosa interesowały sprawy, związane z nowym paktem zachodnim i wycofaniem „ochotników", względnie zawieszeniem broni w Hiszpanii, o tyle rozmowy ministra J. Becka dotyczyły niemal wyłącznie światowych zagadnień gospodarczych w związku z podróżą premiera Van Zeelanda do Ameryki.

Szef rządu belgijskiego udaje się bowiem 11 czerwca do Stanów Zjednoczonych, gdzie odbyć ma z prezydentem Rooseveltem szereg zasadniczych rozmów w celu przywrócenia mocno zbakierowanej równowagi gospodarczej w świecie. Jedzie w charakterze sui generis nieoficjalnego „ambasadora Europy". Niewątpliwie pełen jest dobrych chęci, a może nie pozbawiony pewnych nadziei.

Natomiast, jeśli chodzi o nas, ludzi trzeźwo myślących, (która to cecha naszej umysłowości tak szalenie drażni Rodaków, powracających w zawrotnym tempie do „prelogicznego systemu myślenia", jak to pisze profesor Bystroń), to żywimy co do konkretnych rezultatów zamorskiej misji premiera Van Zeelanda jak najdalej idący sceptycyzm.

Albowiem podczas gdy amerykański sekretarz stanu spraw zagranicznych Hull wygłasza w imieniu prezydenta Roosevelta oraz własnym płomienne apele do świata, aby zaniechał polityki, zmierzającej do autarkii gospodarczej — parlament Stanów Zjednoczonych rozważa ustawy, mające na celu nie tylko całkowite zamknięcie imigracji, lecz nawet dające możność wysiedlenia dotychczasowych emigrantów, jako „uciążliwych cudzoziemców" w razie jakichkolwiek wykroczeń natury administracyjnej.

A jeśli mamy „zbawiać świat", drogą powrotu do klasycznych metod gospodarki liberalno-kapitalistycznej, co, jak się zdaje, ma stanowić właściwy cel pielgrzymki premiera Van Zeelanda do amerykańskiej Mekki — to powrót ten polegałby nietylko na przywróceniu swobodnej cyrkulacji kapitałów i towarów, lecz również na zniesieniu barier, utrudniających migrację rzesz ludzkich.

Co do nas — nie przeżyjemy żadnego rozczarowania, gdyż metody liberalno-kapitalistyczne uważamy za zbankrutowane bezpowrotnie. Premierowi Van Zeelandowi wróżymy przyjemną przejażdżkę po Oceanie i powrót bez rezultatów, ale i bez złudzeń.

Na to nie ma rady: jeśli prezydent Roosevelt i sekretarz stanu Hull mówią jedno, a „kongresman" z amerykańskiego Kociełbowa mówi co innego — to rację w praktyce będzie miał „kongresman".

Nie wierzymy również w powodzenie inicjatywy angielskiej w sprawie ewakuacji „ochotników" i zawieszenia broni w Hiszpanii.

Jak twierdzi prasa włoska, „ochotnicy", walczący po stronie Walencji zostali już „naturalizowani" i w razie czego nie będą podlegali ewakuacji. Nie jest wykluczone, a raczej bardzo prawdopodobne, że analogiczna sytuacja panuje po stronie generała Franco.

Z humanitarnego punktu widzenia — należałoby poprostu szybko i skutecznie dopomóc tej stronie, która ma większe szanse zwycięstwa. Sądząc, z protestu, jaki gen. Franco wystosował do Ligi Narodów, przeciwko „uzurpowaniu przez rząd w Walencji prawa reprezentowania Hiszpanii, podczas gdy dwie trzecie terytorium hiszpańskiego oraz wszystkie kolonie i protektoraty znajdują się pod władzą powstańców" — należało by dopomóc gen. Franco.

Nas wszakże obowiązuje tylko jeden jedyny punkt widzenia, a mianowicie egoistyczna polska racja stanu. Ta zaś nie ma nic przeciwko temu, aby „wojny religijne toczyły się, aż do skutku, byle jak najdalej od naszych granic".

Kochani „milusińscy" z codziennej prasy polskiej, przedstawiającej coraz bardziej ponury obraz skrajnej „dekompozycji" umysłowej oddawna już przestali oceniać wydarzenia polityczne w świecie z **polskiego** punktu widzenia. Nic ich nie obchodzi czy dany fakt **jest korzystny dla Polski**, a jedynie, czy będzie to lepiej. czy gorzej dla Żydów... Jest to zaiste tak wielki triumf żydostwa, że „wybrany naród" nigdy się go nie był spodziewał nawet w najśmielszych marzeniach „Naszego Przeglądu"...

A jednak — choćby ostatnie wydarzenia wewnętrzne w Sowietach nasi „milusińscy" oceniali wyłącznie z żydowskiego, a nie z polskiego punktu widzenia.

Wedle ich (całkiem zresztą z palca wyssanych poglądów) wszystko rozeszło się o to, że Stalin rzekomo więcej faworyzuje lud Izraela, zaś Woroszyłow całkiem onego nie kocha. „Sowietoznawstwo" rzeczonych „milusińskich", również sprowadza się do wymieniania co pewien czas Żydów, piastujących w Sowietach wyższe stanowiska, zapominając, że z **polskiego** punktu widzenia wcale ż tego powodu ubolewać nie należy.

Rosja z popularnym nacjonalistycznym rządem na czele byłaby dla nas bardzo ciężkim kłopotem. Przyznajemy bezstronnie, że „przyjaciele Moskale" nie żywią wobec nas nawet dziesiątej części owej polakożerczej i wręcz zoologicznej nienawiści, którą darzy nas zawścieczone litwactwo z „narkomindiełu".

Mimo to, gdyby się sprawdziły nadzieje „milusińskich" na „narodową" Rosję — to byłaby ona popularna nie tylko na wewnątrz, co plus „piatiletki" stworzyłoby olbrzymią potęgę, lecz cieszyłaby się również wielkimi sympatiami zagranicy.

Dla Polski taki stan rzeczy miałby wymowę bardzo prostą. Tracąc rolę „przedmurza" — przestalibyśmy być mocarstwem in statu nascendi. Stalibyśmy się średnim, środkowo europejskim krajem, wtłoczonym pomiędzy dwa olbrzymie i zwarte wewnętrznie kolosy. Oto czego życzą Polsce „milusińscy". (66)

Adres Redakcji i Administracji: **Warszawa 1, Al. Ujazdowskie 20 m. 7, tel. 7.11.97. Konto czekowe P. K. O. Nr. 25.544**

Numer pojedyńczy 30 gr. — prenumerata miesięczna 1 zł. — trzymiesięczna w kraju 2 zł. 50 gr. — zagranicą 4 zł. 50 gr.

Redaktor odpowiedzialny i wydawca: **Leon Borkowski**

Godziny przyjęć redakcji: 5—6 we wtorki, czwartki i soboty. Administracja czynna codziennie 10—12 i 5—7.

Cennik ogłoszeń: za tekstem 1/1 — 300 zł., 1/2 — 160 zł., 1/4 — 85 zł., 1/8 — 45 zł., 1/16 — 25 zł. Za wiersz milimetrowy — 70 gr. Układ tabelaryczny 50% drożej.

Drukarnia Współczesna, Sp. z o. o., Warszawa, Szpitalna 10